Jacek M. Majchrowski

Mistrz

Sala, w której się znajdujemy, ma dla mnie duże znaczenie w kontekście Profesora Sobolewskiego. Tu mianowicie po raz pierwszy spotkałem, wówczas docenta, Marka Sobolewskiego. Przyszedł w zastępstwie profesora Witolda Zakrzewskiego na wykład z prawa, jak się wtedy nazywało, państwowego. Nie wiem, dlaczego właśnie tu, wykłady profesora Zakrzewskiego kojarzą mi się bowiem z salą w Collegium Nowodworskiego (ówczesna Akademia Medyczna), gdzie zajęcia miał II rok prawa. Po tym wykładzie wiedziałem, że chcę u Niego pisać pracę magisterską. Był to rok 1966 lub 1967. I faktycznie rozpocząłem u Niego proseminarium, które już jako magisterskie kontynuowałem po tragicznej śmierci Konstantego Grzybowskiego w Katedrze Doktryn Politycznych i Prawnych, którą objął Marek. Fakt ten także zaciążył na mojej drodze naukowej – przez całe życie stałem na rozdrożu – między historią, historią państwa, historią doktryn i prawem konstytucyjnym. Gdy śledzę kariery moich kolegów wywodzących się z tego pnia, widzę, że żaden – podobnie jak Marek – nie ogranicza się w swej pracy do jednej dyscypliny, wszyscy poszerzają swe zainteresowania. Jest to także wynikiem działania wzorca Markowego – on bowiem również dokonywał analiz, opierając się na szerszych niż jednodyscyplinarne horyzontach: było to pogranicze historii, prawa, z licznymi elementami socjologizującymi. Nie tylko opisywał rzeczywistość, lecz także wyciągał wnioski z dziejących się zdarzeń czy obowiązujących przepisów. Był, nie ma wątpliwości, jednym z ojców polskiej politologii. Jego prace o partiach politycznych czy zasadach demokracji (jak wówczas dodawał – burżuazyjnej) są tego znakomitym przykładem.

Dla wielu z nas, obecnych na sali, był wzorem uczonego i wychowawcy – był Mistrzem. Ale pamiętać musimy, że o mistrzostwie decyduje relacja uczeń–mistrz, a więc o tym, czy jest się mistrzem, nie decyduje sam uczony – decydują jego uczniowie. To oni stwierdzają: to jest nasz mistrz, z niego chcemy brać przykład, to on dla nas jest wzorem. Oni powołują jego mistrzostwo do istnienia. Mistrzostwo wcześniej ukryte w nieprzeciętnym potencjale intelektualnym, niezłomnym i wyrobionym charakterze, charyzmatycznej osobowości i umiejętności wzbudzania u słuchaczy głodu wiedzy nie dla wiedzy samej, ale dla refleksji, głodu przenikania rzeczywistości złożonej z niekończących się splotów faktów, przyczyn i ślepego trafu. I Marek może się poszczycić tym, że był dla młodych ludzi zdających się na jego opiekę takim właśnie inspiratorem. W ten sposób rodzi się szkoła, którą tworzą mistrz i uczniowie, intelektualna wspólnota wspierana ambicją jej członków i wzajemnie się inspirująca. I nieważne, czy szkoła ta przyjmuje jakąś nazwę i zostaje jakoś zdefiniowana już w chwili swojego funkcjonowania. To dopiero historia nauki może nadać jej nazwę, wyodrębnić specyfikę, scharakteryzować ją, a tym samym ukazać, że nie przeszła bez śladu i że nie była chwilową i mało znaczącą efemerydą młodych naukowców pod egidą swojego guru.

Jakie – poza skupieniem merytorycznego grona wokół mistrza – musi taka szkoła spełnić warunki, aby być szkołą? To musi być więź nie tylko metodologiczna, ale także emocjonalna – mistrz nie może być wyłącznie nauczycielem, ale musi być również przyjacielem swych uczniów. Jego autorytet nie może się wiązać jedynie z tym, że to on decyduje o ich rozwoju, posługując się narzędziami administracyjnymi (np. kierując ich wnioski awansowe i naukowe lub też je blokując), musi on wynikać z wzajemnych relacji. Mistrz musi być wzorem pod każdym względem, uczy bowiem, jak w stawianiu sobie wymagań i podnoszeniu poprzeczki dostrzec sens własnej pracy i własnego istnienia.

O zdolnościach dydaktycznych Profesora Sobolewskiego wspomniałem już na samym początku, ale warto może podkreślić to jeszcze raz – był dydaktykiem znakomitym, prezentującym najbardziej skomplikowane zagadnienia w sposób zrozumiały, bez pseudonaukowej napuszoności, jasnym i zrozumiałym językiem je przedstawiając. Nie czynił z przerysowanej, nadmiernej formy pozornej fasady. Podobnie rzecz się

miała z formułowaniem myśli na papierze. Jego książki i artykuły czyta się z pełnym zrozumieniem, a nikt przy tym nie odmawia im naukowości. Rzecz to nieczęsto spotykana.

Wrócę jeszcze do historii z moich czasów studenckich. Krąg przedmiotów wykładanych w dawnym Instytucie Nauk Politycznych przy ulicy Ziai skupiał grono wybitnych uczonych, z których jednych się znakomicie słuchało i czytało, innych znakomicie i ze zrozumieniem słuchało, czytając jednak z trudnością, i wreszcie takich, których zarówno czytało, jak i słuchało się ze sporym trudem. Marek niewątpliwie należał do grona pierwszych, kontynuując tradycje Konstantego Grzybowskiego.

Był tym, który potrafił w usystematyzowany sposób przekazać wiedzę studentowi niezbędną. Tym, który również ze względu na swoją pozycję w nauce, na szacunek, jakim darzyły go środowiska, dawał nam gwarancję wysokiego poziomu nauczania. I który także ze względu na swoje cechy charakterologiczne był magnesem dla studentów i młodych uczonych. Tym, który pokładane w nim nadzieje spełniał, często z nawiązką.

Warto poświęcić kilka słów Markowi jako promotorowi. Mogę się na ten temat wypowiedzieć z pełnym przekonaniem i pełną wiarygodnością, ponieważ był promotorem zarówno mojej pracy magisterskiej, jak i doktorskiej oraz recenzentem dorobku do habilitacji. Otóż był osobą wymagającą, a równocześnie dawał z siebie wszystko, co promotor dawać powinien. Po pierwsze, słuchał uważnie i z prawdziwym, niepowierzchownym zainteresowaniem tego, co studenci mówili na seminarium, dyskutował, polemizował, czasem krytykował, ale także podpowiadał, pokazywał kierunek, w jakim należy iść i co akcentować. Pracę chciał otrzymać w całości, nie zgadzał się czytać jej fragmentami. Pracę magisterską oceniał, doktorat akceptował, nanosząc uwagi. I co najważniejsze, robił to szybko, nie przetrzymując tekstu miesiącami, jak to się czasami innym zdarzało. Recenzował przy tym rzetelnie. Nie był w najmniejszym stopniu pobieżny, z materiałem zapoznawał się wnikliwie, a jego tempo pracy utrzymywało nas w swoistej psychicznej dynamice, nie pozwalał nam bowiem tym samym na intelektualne rozleniwienie.

Naszym życiowym autorytetem nie nazwiemy osoby, która urzekła nas i uwiodła czymś, co wydało nam się dojrzałością na daną chwilę. Nazwiemy tak kogoś, kto obok nas żyje i funkcjonuje przez długi czas,

nierzadko latami, i z kim czasem też zdarza nam się nie zgadzać, ale mimo tego, lub wręcz właśnie dlatego mamy w sobie poczucie naszego nienaruszalnego wobec niej szacunku. I z tego powodu Marek jawił się nam jako mistrz nie tylko za życia, ale i jest nim dla nas dziś, gdy żyje już tylko w takich jak to wspomnieniach. Szacunek zyskał też dzięki dochowaniu wierności prostej, acz bezwzględnej w życiu zasadzie: szanujemy innych. Nie lekceważył swoich uczniów, nie traktował ich pretensjonalnie. Nobilitował ich i nagradzał rzetelne przygotowanie do zajęć, traktując ich jak intelektualnych partnerów w merytorycznej dyskusji. Swą merytoryczną i fachową przewagą, oczywistą przecież i jakże ogromną, nie tłumił głodu wiedzy ani nie pomniejszał poczucia własnej wartości młodego człowieka. Mógł łatwo przytłoczyć i podciąć skrzydła, ale robił coś dokładnie odwrotnego. Do dziś czuję wdzięczność za wiatr w żagle, jakiego nabrałem dzięki niemu.

Gdy Mistrza zabraknie, a jego uczniowie uprawiają swą dalszą naukową działalność w sposób, jakiego ich nauczył, Mistrz żyje dalej. Przetrwa nie tylko w pamięci swoich wychowanków, w której na zawsze zajmie już pozycję nie do podważenia, ale też w tym, co jego podopiecznym uda się przekazać następnym pokoleniom. Nie wszystek umrę, jeśli żyć będzie to, co dałem swoim następcom…